Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



14-tak. Ub. w Pilczycy (Kieleckie) Stan. hr. Zamoyski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 48 (652). 28 LISTOPADA 1931 R.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.



Na stanowiska. Fot. Z. Kurek.

U NAS JESZCZE NIE TAK ŹLE.

Wielu jest u nas ludzi, którzy sądzą, że zagranica wyżej od nas stoi pod każdym względem. Jest to mniemanie bardzo mylne, a co się tyczy łowiectwa, to mam wrażenie, że stoimy bodaj wyżej od innych państw. W Nr. 27 „Łowca Polskiego" ukazał się artykuł pułk. A. hr. Rzewuskiego, pod tytułem „Smutne curiosum", gdzie autor energicznie piętnuje bezmyślne tępienie ptasząt we Włoszech, zaznacza przytem, że we Francji zostało to częściowo przynajmniej zakazane... Jako znający nieco francuskie stosunki, pragnę tu zaznajomić czytelnika, iż zakaz ten jest, niestety, tylko częściowy. Jeszcze teraz można spotkać w okolicy Nizzy, a nie jest to bynajmniej pod tym względem odmienna od reszty Francji okolica, strzelców (gdyż panów takich nie godzi się nazywać myśliwymi), którzy, uzbrojeni w rasowe dubeltówki, z niemniej rasowymi wyżłami u nogi, z kordelasem u pasa (sic!) spacerują po szosie. W pierwszej chwili można myśleć, iż to zbóje, lecz jowialne ich miny wnet mogą każdego uspokoić. Gdy, zdumiony, spytałem takiego „polującego" jegomościa, co za zwierzyna może się tak blisko od miasta znajdować, odparł mi z oburzeniem: „Mais il y a des moineaux..." — i rzeczywiście, ludzie ci polują na wróble.

Nie jest to bynajmniej wyjątek; „polujących na wróble" było dawniej dużo więcej, — obecnie ciężkie czasy, ładunki drogie, — proceder się nie kalkuluje, lepiej łapać ptaszki na lep lub sidła...

We Francji w każdym niemal sklepie z bronią można dostać lusterko do polowania na skowronki.

Na czem to polowanie polega?... Otóż nemrod pragnący zapolować na skowronki, — a pora najlepsza to jesień, gdy ziemia zorana, a kartofle wykopane, — umieszcza to lusterko, wyglądające, jak przetak, którego oczka zastąpionoby małymi kawałkami zwierciadła, w polu, na widocznem miejscu, sam zaś chowa się niedaleko w krzakach. Do owego zwierciadełka, umieszczonego na sprężynie, przymocowany jest sznurek, przy pomocy którego można dowolnie poruszać lusterko. Aby się łowy udały, potrzebny jest dzień słoneczny, gdyż wtedy poruszane lusterko iskrzy się w promieniach słonecznych, co przyciąga skowronki i inne ptaszki na łatwy strzał do ukrytego strzelca.

O ile niżej, niż u nas stoi tam etyka myśliwska, świadczy następujący fakt: W r. 1923, będąc w Paryżu, pewnego dnia spotykam znajomego francuza, który mi mówi: „Pomyśl, co za nadzwyczajne zdarzenie miałem wczoraj, — polowałem na kuropatwy, gdy raptem z pod samych nóg wyrwała mi się sarna, — tak zgłupiałem, że zapomniałem do niej strzelić, i poszła cała, — pomyśl, co za pech". — „Jakto, wy śrutem sarny strzelacie?" — spytałem zgorszony. Popatrzył na mnie, osłupiały, nie mógł zupełnie pojąć: 1) że do kóz nie strzela się wcale, 2) że do kozłów inaczej jak kulą, nie należy strzelać. Gdy mu to tłumaczyłem, odparł, że i koza i kozioł są zwierzętami, a jako pieczeń, są sobie równe...

Otóż w kraju, gdzie się podobne horrenda zdarzają na porządku dziennym, nie mało mnie zdziwił artykuł p. R. Dubard'a, występujący przeciwko strzelaniu

słonek na ciągach wiosennych. Po dokładnem przeczytaniu artykułu, zrozumiałem, o co chodzi; p. Dubard— zasłaniając się dbałością o dobro zwierzostanu — stwierdza, że słonki na wiosnę są chudsze i twardsze niż te same, ubite jesienią.

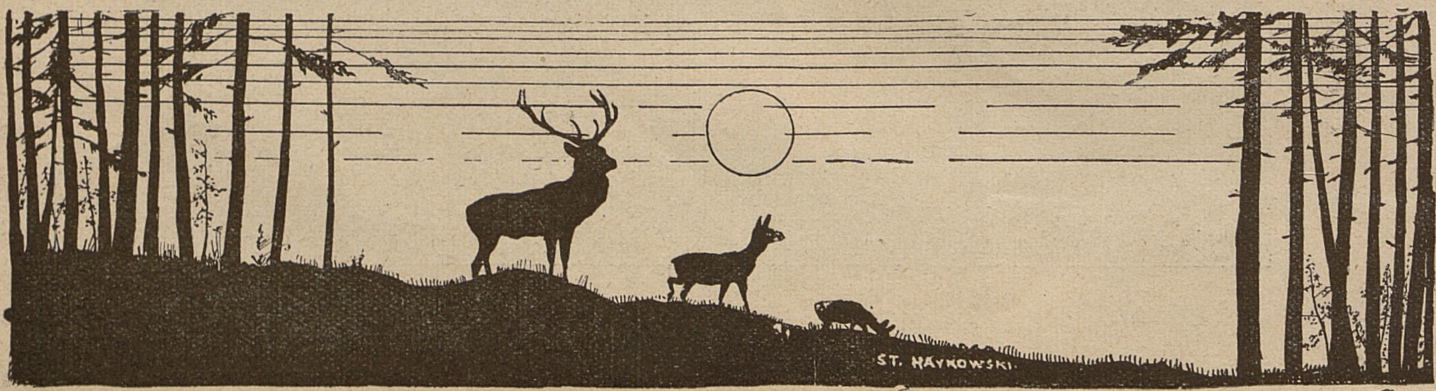
Piękno wiosennego ciągu, ten nastrój cudowny, którym rozkoszuje się dusza łowiecka, nie wchodzi tu zupełnie w rachubę. Wolą ci ludzie polować jesienią, z kundlem, który, skacząc po zaroślach z dzwonkiem u szyi, płoszy tłuste słonki, niż doznać czaru wiosennego wieczoru, bo na końcu będzie — chuda słonka.

Jeśli chodzi o dobro zwierzostanu słonczego, to potrzebniejsza byłaby ochrona na jesieni niż na wiosnę, a to z następujących powodów:

Gdy na wiosnę dobry myśliwy upoluje na ciągach ok. 20 słonek, uważa, że dużo upolował; więcej niż 5, jednego wieczoru rzadko się zdarza, a przeciętnie ubija się 2 — 3; ten sam jesienią z wyżłem jednego dnia może 60 sztuk upolować; takie jesienne rzezie doskonale opisuje K. Wodzicki w swej monografji o słonce. Pozatem na wiosnę pada bez porównania więcej samców niż samiczek, gdyż te ostatnie późniejszą wiosną (od 25.IV do 15.V) siedzą już na jajach, a samce wciąż ciągną nad lasem. Z własnego doświadczenia oraz ze spostrzeżeń leśniczych i innych myśliwych stwierdziłem, że na ogólną ilość słonek, ubitych wiosną, przypada 60 — 80% samców.

Na zakończenie nadmienić muszę, iż we Francji są ludzie, którzy niewątpliwie pojmują łowiectwo jak się należy; są jeszcze niezłe rewiry łowieckie, a w opiece nad zwierzyną i szlachetnem pojmowaniu myślistwa przoduje St. Hubert Club. Tym nielicznym pionierom należy się prawdziwe uznanie.

H. TYSZKIEWICZ.



BIAŁE RYKOWISKO.

Zełemianka, wrzesień 1931 r.

Pogoda w bieżącym sezonie rykowiska nie dopisała. Nie mieliśmy pięknych, słonecznych dni. Nie mieliśmy tego cudownego w górach „polecia", które, przypominając wiosnę i lato, stroi całą przyrodę w pełen czaru i uroku przepych barw.

Natomiast każdy z łowców biorących udział w podchodach, będzie zapewne tego samego zdania, że w takich warunkach jeszcze nigdy nie podchodził jeleni,— przechodził bowiem całą grozę prawdziwej, głębokiej zimy, jakby to się działo nie z końcem września, ale w styczniu lub w lutym.

Od 23 września począwszy, do pierwszych dni października podchodziło się białą stopą, i można było kierować się nie głosem jeleni, ale tropić je w śniegu.

Pewnego dnia na wirchu poryw orkanu ze śnieżycą omal nie zrobił ze mnie szybowca.

Głęboki po kolana śnieg i drzewo, za które chwyciłem, uratowały mnie od szybowania w powietrzu.

Zwierzyna zeszła w potoki i zbocze niewystawione na wiatr.

Ponadto chwyciły rankami przymrozki, a śnieg tak trzeszczał pod nogami, jak wśród głębokiej zimy.

W pierwszym dniu podchodu na Kruhlaku, w Zełemiance, zobaczyłem jelenia z czterema łaniami, przechodzącego granią po za wirch. Był to jedyny jego spacer przez bardziej otwarte miejsca.

Mimo zwyż 300 m. odległości, wieniec rysował się na horyzoncie całkiem wyraźnie i każdy jego koniec był widoczny. Był to 16-stak albo 14-stak o bardzo dobrym i silnym wieńcu.

Obeszliśmy z podleśniczym wokoło, a gdyśmy nadeszli na przełęcz, — wskazywały pod wirchem widoczne na śniegu tropy, że zeszły w gęstą kulturę.

Przez pięć dni chodziłem wyłącznie za nim. Dzień w dzień słyszałem go. Odzywał się bardzo rzadko. Zaraz obok na przeciwległej zboczy pod Matachowem poryk był silny. Jelenie odzywały się do dnia i po południu prawie bezustannie.

Widziany przez nas, był to jeden z tych starych jeleni ostrożnych, który chodził tylko nocą, a jeszcze przed świtem z otwartych miejsc zaszywał się w kulturę, skąd go mimo wabienia ruszyć nie było można.

Mając dzielnego i dobrego przewodnika w osobie podleśniczego, użyliśmy wszelkich sposobów, by się dostać w pobliże. Obchodziliśmy teren nieraz daleką drogą. Pewnego razu wyszliśmy po 12-ej w nocy, idąc wokoło i to takiemi ścieżkami, przez które, gdybym je lepiej widział za dnia, — może zawahałbym się przejść. Miałem zaledwie tyle miejsca, by część nogi postawić. W innym odcinku przechodziło się z kilkaset metrów po płytach. Szło się po nich jak po klawiszach.

Tony, które wydawały, były jednak bardzo ponure. Co gorsza, płyty nie zawsze kształtowały się płasko stały czasem i kantem w górę, trzeba było zatem dużo uwagi poświęcić, by nie wdepnąć w jakiś ukryty otwór.



Zrąb na „Styrskiem" w Załemiance.
Fot. St. W. Orski.

Wszystko na nic! Jeleń był niewidzialny, gdyż przed świtem zastaliśmy widoczne na śniegu świeże tropy, które wskazywały na to, że nocą przeszedł przez otwarte miejsca i zbocz do kultury, w dole, w pobliże potoku, gdzie się od czasu do czasu odzywał.

Idąc wówczas prawie cztery godziny, by z dobrym wiatrem zejść przesmyki, którymi jeleń przechodził, pomyślałem, że za dużo kapitału-trudu wkłada się w to przedsiębiorstwo, którego wynik jest bardzo wątpliwy.

I tak faktycznie było. Może być, że zaraz w pierwszych dniach rykowiska byłoby można z nim się zetknąć, — później, gdy miał swoje łanie i z niemi zaszył się w swoje uroczysko, — nie można go było zejść.

Parę dni wcześniej byłbym go miał, mogłem jednak niestety, dopiero 25-go września podchody rozpocząć.

Najlepszym dniem podchodów był 24 września.

W przedostatnim dniu moich podchodów poszliśmy z podleśniczym pod Matachowem do zrębu, który z Kruhlaku dzień w dzień obserwowaliśmy przez szkła i gdzie odzywało się sześć jeleni.

Nieraz widzieliśmy je przez szkła.

Idąc starym lasem, podsunęliśmy się w pobliże przełęczy zrębu. Zastaliśmy tutaj prawdziwe gody. Naliczyliśmy 16 łań. Jelenie stały po przeciwnej stronie. Uchwyciliśmy scenę zazdrości, gdyż silniejszy dwunastak spędzał swoje łanie razem, broniąc je przed miłosnymi zabiegami przyciołka-dziesiątaka, i dłuższy czas ścigał go, a następnie razem z łaniami usuwał się w stary las bukowy. Oba wieńce były słabe.

W górze zrębu odzywały się dwa jelenie, — tych jednak nie mogliśmy zobaczyć, gdyż odzywały się w lesie.

W dole, w pobliżu potoku, ukazał się nam nieco silniejszy dziesiątak z pięcioma łaniami. Po południu wobec zmiany wiatru obeszliśmy dalszą drogę, mając zamiar z drugiej strony wyjść w pobliże górnej części zrębu.

Był to jeden z suchych podchodów bez deszczu i śniegu, gdyż na 12 miałem tylko dwa suche.

Po drodze widzieliśmy w grubym lesie w znacznej odległości chmarę z ryczącym, dobrym jeleniem. Mimo wabienia i odpowiadania nam, nie chciał zejść z drogi swojej. Drugą chmarę obserwowaliśmy pod Doboszową kiernicą, na przeciwległej zboczy.

W pobliże zrębu przyszliśmy około godz. 4-ej.

Na nieszczęście, tuż przy bancie, albo i w lesie żerowały niedostrzeżone przez nas łanie. Spłoszone, zaalarmowały wszystkie godowe orszaki — tak, że na zrębie zastaliśmy pustkę.

Ostatni ranek przed wyjazdem oddaję jeszcze raz Kruhlakowi, a był to wyjątkowo jedyny piękny dzień, ale prawie zimowy, z przymrozkiem.

Już przed czwartą jesteśmy z podleśniczym w załomie ścieżki, między dwoma grzbietami, którędy codziennie nocą, a pierwszym razem po południu przechodził.

O 4-ej rano zaczęły jelenie porykiwać na przeciwległej zboczy pod Matachowem, wkrótce zlały się ich poryki w jeden bezustanny chór.

Nagle „nasz" odezwał się tuż pod nami, w klombie świerków, a basowy, poważny jego odzew usuwa wszelką wątpliwość co do tożsamości.

Zamaskowani małymi świerkami, przysiadłszy na głazach, wyczekujemy z upragnieniem chwili, w której pożądany wieniec z klombu się wyłoni. Siedzącemu podleśniczemu, który ze swego miejsca luki między klombem, a grzbietem małego wirchu nie widzi, — szeptem donoszę: „Pierwsza łania!.." „Druga łania!.." Wyszły obie na kilkadziesiąt kroków. Sztuciec skierowany w lukę, obok klombu, gdzie słyszę ryk, a następnie łomot... „Jest!" Idzie jeleń!.. Patrzę, oczom nie wierzę! Dobrze, iż przed spustem w ostatniej chwili popatrzyłem na wieniec. Słaby dziesiątak! I ostatni szept do podleśniczego: „To inny, nie nasz!.." A byliśmy obaj, sądząc po ryku, pewni, że to musi być ten pożądany, któremu tyle czasu i tyle trudu poświęciliśmy, — tak mocno i poważnie się odzywał.

A ile zawodu i rozczarowania mieściło się w tych dwu słowach: „to inny!", zrozumie każdy, kto tak bliskiego ustom puharu wychylić nie mógł.

ST. W. ORSKI.



Straż rewirów w Załemiance. Fot. St. W. Oorski.

W OSTĘPACH BIAŁOWIEŻY.

(FRAGMENT Z CYKLU „ŁOWIECTWO BATOREGO").

Szlachcic Bojanowski, mający sprawę do króla, pisze w liście z dn. 13 stycznia 1581 r. do Jędrzeja Opalińskiego, Generalnego Starosty Wielkopolskiego, że nie mógł uzyskać u Stefana Batorego podpisu na dokumencie donacyjnym dlatego, że... „Król był od małej kancelarji oddalony o kilka mil na łowiech w Białowieżach, tak iż z jednego miejsca podpisu, z drugiego pieczęci szukaćby było przyszło"...

Sekretarz króla, historyk jego wojen i czasów, znany nam Heidenstein, wspomina także o tem, że jego pan polował często i w puszczy Białowieskiej i to zarówno na grubego zwierza, jak na głuszce i cietrzewie.

On, jako wielki myśliwy przed Panem, nie znachodził przyjemności w samem jeno ubijaniu zwierza, ale polował przedewszystkiem dla zaspokojenia swojej wielkiej, niczem niewstrzymanej, ochoty łowieckiej, która była serca jego potrzebą, i że dlatego pociągały go zawsze jednakowo tak wielkie łowy na niedźwiedzie, żubry lub jelenie, jak i mniejsze na zające i ptactwo.

Parał się więc łowiectwem wtedy, kiedy miał czas, i polował wszędzie, gdzie mu wypadło, nie bezmyślnie jednak, nie w czasie ochronnym, o którym wówczas prawie że nie myślano, ale w miesiącach, w których zwierzyna się nie mnożyła, ani młodych nie wodziła, a więc tylko późną jesienią i w zimie.

Łowy polskie za jego czasów miały prawdziwy swój wyraz i nosiły na sobie piętno rycerskiej zabawy.

Puszcza Białowieska, jako jedyny większy zabytek pralasu polskiego, milcząca i senna, niedostępna i tajemnicza, wywierała na Batorego urok nieprzeparty i ciągnęła go ku sobie zawsze, ilekroć w jej pobliżu się znajdował. Tem chętniej do niej i dlatego także zjeżdżał, że założył w niej pierwszy na ziemiach polskich zwierzyniec.

Blisko źródeł rzeki Jelanki na uroczysku, zwanem „Wielką kletnią" ogrodzono z jego polecenia kilkaset ha dziewiczego lasu wysokim, dębowym częstokołem, zbudowano w dwu wybranych miejscach wygodne domki strażnicze, wpuszczono do zagrody kilkanaście żubrów i utworzono w ten sposób rezerwat dla ich hodowli i ochrony.

Ilekroć był król w Białowieży, tyle razy kazał się prowadzić do „kletni", aby oglądnąwszy radośnie swoje dzieło, wydać strażnikom nowe zarządzenia, dotyczące życia i wszelkich potrzeb mieszkających tam zwierząt.

W styczniu r. 1581 wybrał się król znowu do Białowieży, aby zapolować na głuszce... Towarzyszyli mu: Zamoyski, Wesseleny, wierny kamerdyner Isztok i jak zwykle — przyboczny jego strzelec, Jan Kawęczyński. O tym niezrównanym mistrzu istnieje ciekawa opowieść, którą tu przytoczę za znanym pisarzem łowieckim S. K., a którą tenże drukował w „Łowcu" lwowskim z r. 1915.

...„Ćwierć mili od pierwszej stacji (kolejowej) Ryćwi leży wieś Kawęczyn, niegdyś szlachecka, która była miejscem urodzenia jednego z dzielniejszych rotmistrzów króla Stefana.

Oto anegdotka o nim, jak ją wyczytałem w pewnym rękopisie. Gracki był młodzian Jan Kawęczyński, według przysłowia de jure et de hajda, lecz nieznośny zawadjaka, z sąsiadami zadzierał, worywał się w cudze miedze i bijał zwierzynę w cudzych lasach.

Tak zaś miał być zręczny w strzelaniu, że przechodził tradycyjną w niem biegłość Kurpi; nigdy nie chybiał do zwierza, a nie celował inaczej, jak w głowę. Czynił to dla ochrony skór, któremi handel prowadził...

Otóż ten jegomość, nie wiedzieć, z jakiego powodu, może procesem zmuszony, zawitał raz do Warszawy, a właśnie w czasie pobytu w niej króla.

Stefan Batory mieszkał w dworcu Jazdowskim, a ulubioną jego rozrywką i wytchem po trudach władzy, było doglądanie zwierza, którego chował w przyległym zwierzyńcu.

Że zaś szczególnie lubił jelenie, znał prawie każdego i od czasu do czasu, gdy przyszła chęć, ubijał którego z nich.

Pewnego dnia był w bardzo kwaśnym humorze, bo jeden z najpiękniejszych rogaczy zginął...

Przywołany dozorca zwierzyńca musiał wyznać prawdę: ten jeleń został zabity, lecz przez kogo, nie wiedział. Dopatrzył tylko tropy zwierza na murawie i ślady nóg ludzkich na piasku.

Nazajutrz zginął drugi jeleń, trzeciego dnia trzeci i tak następnie przez dni sześć.

Próżne były poszukiwania i baczność dozorcy i strzelców, złodziej był zręczny, wybierał zawsze tę chwilę do strzału, kiedy świadka nie było.

Jeden z myśliwych królewskich dał o występnym kłusowniku taką wiadomość, jako że ją sam na sobie przeżył.

Powiedział więc, że zaczaił się w lesie, uważając, czy się kto nie ukaże. Około północy zaszumiały liście na drzewach i wysunął się rogacz. W tej chwili zabrzmiał wystrzał i zwierzę, ugodzone w oko, upadło...

Ma się rozumieć, że strzelec czekał na złodzieja; za chwilę wystąpił jegomość. Był to szlachetka olbrzymiego wzrostu, czerkieskich wąsów, miny świętokrzyskiego zbójcy. Nie zląkł się go przecież strażnik; dufając w siłę, którą go obdarzyła przyroda, rzucił się na złodzieja.

Ale ze szlachcicem nie było żartów. Jednem uderzeniem kościstej i żylastej pięści, obalił strzelca na ziemię i kładąc kolano na jego piersi, przemówił: „Słuchaj bratku, ze mną niema przelewek, jeśli choć słówko piśniesz, zginiesz, jak mucha!"

I dodał: „Trzeba ci wiedzieć, że muszę zabrać jelenia, którego zabiłem, a ty nie masz wiedzieć, w którą się stronę obrócę, dlatego słuchaj uważnie, co powiem: rozbroję cię i położę twarzą do ziemi, a jeśli się ruszysz, gdy będę brał zwierza, lub gdy z nim będę odchodził, strzelę w łeb jak psu!"

Strzelec rad nie rad uczynił, co mu zalecono, jednak zezując, dostrzegł, że szlachcic zarzuciwszy na plecy jelenia właśnie jakby kto inny prosię lub cielę, wyszedł ze zwierzyńca, zsunął się ku Wiśle, a wkrót-

ce potem uderzenie wiosłem i plusk wody uwiadomił go, że odpłynął ze swym łupem.

Tyle podał myśliwy.

Gdy królowi doniesiono o tem, co zaszło, gniewał się, bo gniewał się często, a klął jak bisurmanin, bo klął na swój sposób — z węgierska... Gdy zaś uspokoił się nieco, przemówił:

Dziś sam pójdę na zwiady. Sem basem do stu szatanów, zje mi djabła ten złodziej, jeżeli go nie złapię. Na tysiąc czartów ukarzę, jak wypada, nauczę moresu! Niech dziesięciu hajduków będzie gotowych, na miljon szatanów... Każę żywcem zabatogować!...

Król Stefan lubił dotrzymywać słowa. Wiedzieli o tem wszyscy. Wszakże Ościkowi na Litwie za zmowę z Iwanem Groźnym, a Zborowskiemu w Koronie za to samo, choć byli to możni panowie, głowy z karków bez wahania zdjąć kazał. Bano się tedy o złodzieja — szlachcica i żadenby za wszystkie skarby świata w jego skórze nie chciał być, jednakże czatowali z podwójną gorliwością na przestępcę, bo król, zwracając się do nich, dołożył: „A, mości panie! Pilnujcie, bo sem basem, jeżeli nie upilnujecie na sto djabłów, każdy sto bizunów dostanie i — do stu szatanów — wypędzę ze służby!"

Pilnowano tedy i niedługo, bo już przed północą, właśnie gdy księżyc w pełni wypłynął na połowę nieba, zabrzmiał strzał i jeleń upadł, a za parę minut ukazał się i szlachcic.

Otoczono biedaka i, pomimo silnego oporu pokonano, związano i przywiedziono do króla.

Lecz król przeciw zwyczajowi swojemu, nie był rozgniewany, pilnie zabitemu jeleniowi przyglądał się, a potem przywoławszy jednego ze strzelców, kazał mu mierzyć krokami odległość do dużej gruszki, którą wskazał.

„Sześćsetsiedmdziesiąt pięć kroków" — wyrzekł strzelec, gdy dopełnił rozkazu.

„Sześćsetsiedmdziesiątpięć kroków, powtórzył król, na tysiąc szatanów, nie bagatela mospanie!" Zwrócił się do strzelców, wyjadaczy w swojem rzemiośle: „Który z was zobowiąże się na tę odległość trafić do celu, kulą w talara!"

Strzelcy spojrzeli po sobie. „Najjaśniejszy panie, to niepodobieństwo!"

„Niepodobieństwo?! na tysiąc djabłów, nie prawda! Ten szlachcic, wskazał na winowajcę, trafił, jak mi mówiono, na tyle kroków jelenia w oko!"

„To bagatela dla mnie, wyrzekł występny, i dalej trafić mogę!"

„Zobaczymy, mruknął król,... jeśli prawda, co mówisz, jeśli na 800 trafisz mi w talara, nietylko że przebaczę złodziejstwo, ale każę odliczyć sto dukatów złotem, w przeciwnym razie na tysiąc djabłów przysięgam, tysiąc nahajów dostaniesz!"

Szlachcic uśmiechnął się dumnie, poprosił o swoją gwintówkę, nabił i gdy odliczono kroki i założono cel, strzelił i na linję nie chybił (!!!).

„Sem basem, do stu tysięcy biesów, na wszystkich djabłów w piekle, wołał król w najlepszym humorze, a zadziwiony, jakim nie był nigdy. Mospanie bratku, waść nie na złodzieja stworzony. Od dziś jesteś moim leśniczym nadwornym i stosowny jurgielt dostaniesz!"

Szlachcic ukłonił się do ziemi i uścisnął króla za nogi, lecz mówił: „Najjaśniejszy a miłościwy panie, leśniczym nie mogę być!"

Stefan gęste brwi ściągnął: „Gardzisz waść moim chlebem?" — „Bynajmniej, Najjaśniejszy panie, lecz chcę na niego zarobić. Wasza królewska mość wybiera się na wojnę, i ja chciałbym na nią pójść i dopiero po jej skończeniu, gdy dość nieprzyjaciół nabiję, przyjmę łaskę waszej królewskiej mości!"

W to graj Stefanowi. Sam wojenny i dzielny, kochał dzielność w innych i podług niej sądził ludzi.

„Mospanie bratku, na tysiąc szatanów, jesteś chwat, muszę też zgodzić się na twe życzenie. Źle będzie, jeśli po skończonej wojnie przynajmniej rotmistrzem nie będziesz... Pójdziesz tedy ze mną naprzód, na nieprzyjaciół, a potem w lasy na łowy!"

I szlachcic poszedł i rzeczywiście po dwu latach wojny został rotmistrzem i przybocznym, królewskim łowczym. Towarzyszył też swemu panu na każdem polowaniu. Przecież do śmierci tylko Stefana piastował tę godność, bo Zygmuntowi III nie podobał się dla swej zuchwałej miny i śmiałości w mowie...

Mało tylko szczegółów rękopis, o którym wspomniałem, daje o dalszem życiu tego Kawęczyńskiego. Powiada tylko, że ten osiadłszy na wsi i ożeniwszy się, nie zmienił trybu życia i podobno od sąsiadów w jakiejś granicznej kłótni na śmierć zarąbanym został"...

* * *

Ale wracajmy do Białowieży.

A że toków głuszców jeszcze nie było, trzeba było polować na te ptaki nieco inaczej, a więc z nieliczną wprawdzie, ale wyszkoloną naganką i napędzać je powoli na stanowiska myśliwych, rozstawionych na znanych przesmykach. Ruszone i pędzone umiejętnie, dreptały najpierw na dłuższej przestrzeni po śniegu, często się jednak niektóre z nich płochliwszej natury podrywały i uleciawszy kilkaset kroków, zapadały znowu, albo siadały na drzewach, nierzadko tuż nad stanowiskiem czającego się strzelca, który mógł wtedy strzelić do ptaka na bliską metę z muszkietu.

Batory strzelał loftkami, a że trafiał doskonale, miewał zawsze po kilka pięknych kogutów na pokocie.

Wielki urok takich łowów polegał na tem także, iż przed posuwającą się ku linji myśliwych naganką, pomykał często i zwierz grubszy, jak wilk, ryś lub żbik i nastręczał pożądaną, a tak miłą, sposobność do interesującego strzału i zdobycia nie byle jakiego trofeum.

Jakąż radością napełniało się wtedy serce łowcy, gdy zamiast głuszca udało mu się rozciągnąć na śniegu szarego basiora, albo i królewskiego kota.

(Dok. n.). WŁADYSŁAW GUERTLER.





WIELKI DZIK.

(NIECO PRAWDY I NIECO FANTAZJI).

Zacznijmy od prawdy. Otóż prawdą jest niezaprzeczalnie, że dzik wogóle był, że został zastrzelony, że strzał był trudny. Ale trzeba zacząć od początku.

Więc dzień był szary, wietrzny, raz po raz urozmaicany śnieżycami. Dziki były otropione i tu, i tam, i jeszcze gdzieindziej.

Pierwszy miot — humory znakomite. Dziki rzeczywiście były, ale cóż, kiedy całe stado poszło przez nagankę, a jeden tylko, lekkomyślny, czy złośliwy, wyszedł na strzelców (nie pytajcie, proszę, kto do niego chybił. I tak miał dosyć kłopotu z objaśnieniami, jak to było i jak się mogło stać, że...).

Drugi miot — humory niepewne. Dzików ani śladu. To jest nie, właśnie odwrotnie, śladów masa, ale na tem koniec.

Idziemy więc brać trzeci miot. Ogólne mniemanie, że to wogóle strata czasu, że tropy, ku którym idziemy, pochodzą napewno od tego samego stada, które ruszyliśmy w pierwszym miocie, że i t. d., i t. d.

Śnieg padał coraz gęściej, mokry i przykry, jako że zbierało się na odwilż. Terenem trzeciego miotu była spora dolinka porośnięta gęstym młodniakiem, przy gołych, ułatwiających strzał stokach. Stajemy po obu stronach. W dolnej części doliny pas młodniaku nie był szerszy nad 100, 120 kroków, więc też myśliwi postawieni w tem miejscu, wyraźnie się buntowali. „Tu miałoby coś być?!"

No i właściwa historja się zaczyna! Naganka ruszyła, upłynęła może minuta, może półtorej, aż tu naraz ciszę szarego dnia zimowego przerwał piekielny, a tak myśliwskiemu uchu miły, harmider. Ujadanie psów, wrzask naganiaczy, trzask zarośli łamanych w pędzie przez ciężkie zwierzęta, a w chwilę potem w paru miejscach strzały na linji. Do tej cudownej melodji miesza się jak wtór, zwarjowany rytm serca, oczy nabierają ostrości sokolej, jedna myśl panuje niepodzielnie: A może i na mnie wyjdzie...

Znów strzały. Raz, dwa , chwila przerwy, znów raz, dwa... Idzie! A psia! Jakże to możliwe?

Wielki, czarny dzik, szczęśliwie uniknąwszy salw od dwóch myśliwych, między którymi wyskoczył z zarośli, lekkim truchcikiem biegnie sobie po otwartym, ubielonym śniegiem stoku doliny. Już jest zbyt daleko na strzał z gładkich luf, już uchodzi bezpiecznie. Wtem, z drugiej strony doliny, trzaska sucho mauzerowski sztucer, dzik ruluje jak zając, toczy się trochę w dół stoku i leży bez ruchu. Hurra! No, no, ze 250 kroków, piękny, naprawdę, strzał!

W sam łeb!

— — — — — — — — — — — — —

A teraz, jak ta sama historja wygląda w ustach tryumfatora:

„Widział pan? Nie? Ach prawda, pan stał tam dadej! O, ja tam stałem, po lewej stronie. Słyszę — idzie dzik! Już, już, wprost na mnie! Nie, psia kość skręcił w bok. Znowu trzask! No, pan przecież też wie, jak się kręciły po całym młodniku. Gdzie tam kto może patrzeć, co się dzieje gdzieś daleko! Człowiek żałuje, że nie ma dwóch par oczu dla swego stanowiska! Ale jak się przecież tu zaczęła ta kanonada, — rzuciłem okiem! Ledwie, ledwie przez krzaki coś widziałem. Złość mnie, panie porwała! Wali dzik po górze, tylko miga! Wziąłem go na muchę, ot tak sobie, aby strzelić, bo jakże tu i marzyć o trafieniu na taki dystans; walę, aż tu ruluje, panie, na miejscu! Co? To był strzał? Chyba ze 300 metrów i w biegu! I to mój pierwszy dzik!"

W chwilę później w innem kółku myśliwych:

„No, nie, panowie przesadzają! Strzał był trudny, prawda, metrów ze 400 i w całym pędzie, ale znów nic nadzwyczajnego! Ja nawet nie celowałem, ot tak z przyrzutu i już! Nie chwaląc się, mam już i dublet do dzików na sumieniu. I to do jakich! Jeden miał 200 kilo, drugi stopięćdziesiąt, nie tak jak ten, ten ile może mieć? Sto, stodwadzieścia? Warchlak!"

W liście do Niej:

„...odległość była ogromna, chyba z 500 metrów. Wielkie cielsko pędzącego jak wiatr, dzika wydawało się plamką czarną na śniegu. Strzał był niemal szaleństwem, ale jednak strzeliłem. Możesz sobie wyobrazić, co to za tryumf, gdy dzik zwalił się od jednej kuli! Pośpieszyliśmy na miejsce: Olbrzymi, czarny odyniec, wagi około dwustu kilo, po śmierci niemal jeszcze groźniej wyglądał niż za życia. Kły, „szable" po myśliwsku, białe i ostre, zdał się szczerzyć ku nam z pogróżką. Żałowałem wówczas..."

— — — — — — — — — — — — —

W ustach świadków ta sama historja wygląda znów tak:

„Pan nie widział? No, udało się, ale cóż tak wielkiego? Dzik jak tarcza na tle śniegu, odległość ze 150 kroków, a może i tyle nawet nie; cóż za sztuka, gdy się ma dobry sztucer. Ja, panie, raz położyłem dzika na 180 kroków ze zwykłej dubeltówki i to wśród drzew, że się tylko migał. A to... Eech, wstyd byłoby wprost chybić! A pan D. taki dumny, jakby był naprawdę znakomitym strzelcem. Ale my coś wiemy o tem, nie? Pamięta pan tego zająca na Dębowej Górze? Co? Ha, ha, ha. Na dwadzieścia kroków go spudłował z dwu luf! Albo ten lis wówczas ha, ha, co? A ja wówczas miałem dwa dublety w jednym dniu, a jak pan tego swego kota ściągnął, to naprawdę miło było patrzeć! Ech, napijmy się jeszcze tej wiśniówki!"

B. SUJKOWSKI.

Chylonja.

KILKA SŁÓW O ŁOWIECTWIE W SZWECJI.

Dokończenie. (Zob. Nr. 47).

Różne przepisy łowieckie.

W czasie ochronnym nie wolno zwierzyny na terenach, których to dotyczy, kupować, sprzedawać, ani przewozić bez urzędowej pieczęci. Jadalną zwierzynę wolno przewozić w terminie od zaczęcia ochrony w ciągu dni 4, a na północy kraju — 8, do miejsc, gdzie może być pieczętowana.

Niedźwiedzia i rysia w lasach państwowych można ubić jedynie za zezwoleniem królewskiem, jeśli zaś napadają zwierzęta domowe, to wystarczy pozwolenie centralnej władzy administracyjnej.

Niedźwiedź i ryś, zabite i złapane, są własnością korony.

Niedźwiedź i ryś, padłe na skutek zadanych ran, należą do korony, tak samo łoś, jeleń i sarna, znalezione w terminie ochronnym; inna zwierzyna należy do właściciela polowania.

Łoś, jeleń i sarna, napotkane w terminie ochronnym, tak ciężko ranne, że je należy dobić, należą do korony.

Ten, kto zabił, złapał lub podniósł zwierzynę należącą do korony, powinien zameldować o tem policji lub administracji lasów państwowych.

Ten sam obowiązek spoczywa również na właścicielu gruntu, dzierżawcy lub właścicielu polowania, który się dowiedział, że podobny fakt zdarzył się na jego terenie.

Ten, kto ranił zwierzynę tak, że padła w odległości 100 m. od jego granicy, ma prawo ją podnieść. Przyczem dla łosia, jelenia i sarny istnieją specjalne przepisy.

Wilka i rosomaka, który trzyma się w okolicy, ma prawo każdy, po zawiadomieniu właściciela polowania, ubić i zatrzymać. Napotkane przypadkowe i ubite, czy to będzie wilk, rosomak, czy foka, należą do tego, kto je ubił.

Nie wolno bez pozwolenia właściciela, przeszukiwać ani polować w ogrodach i na podwórzach, temniemniej na polach, nawet w 1/5 już skoszonych, gdzie rośnie zboże albo trawy uprawne.

Z bronią i narzędziami łowieckiemi nie wolno przebywać na obcym terenie, a do komunikacji należy używać jedynie ogólnie uznanych dróg; psy, o ile się ma z sobą, muszą być zawsze na smyczy.

Polowanie na podwórzach i w ogrodach określają specjalne ustawy.

Straszyć, ani wypłaszać zwierzyny z obcych terenów niewolno.

Łosi nie wolno gonić na nartach, ani łapać w doły, lub wnyki (autentyczne). Polowanie z pojazdu motorowego, ani przy jego użyciu jest niedozwolone.

Polowanie z motorówek i statków, z wyjątkiem na fokę, jest wzbronione w okolicy Sztokholmu i na zachodniem wybrzeżu przez cały rok, w innych zaś częściach państwa—tylko w czasie od 1.VI—30.IX.

Polowanie z pochodniami i przy sztucznem świetle jest zakazane.

Broni 10 m/m lub mniejszego kalibru o typie wojskowym wolno używać tylko do polowania na foki i na otwartem morzu, jak również za pozwoleniem władz na wilki w bezludnych okolicach i powyżej granic lasów ochronnych.

W pułapkach nie wolno umieszczać broni palnej, ani oszczepów.

Bez zezwolenia władz nie wolno łapać w pułapki, ani używać trucizny.

Strychniny wolno używać tylko na wilki, rosomaki i lisy.

Żelaza należy odwiedzać przynajmniej raz na dobę i za pozwoleniem władz wolno używać na wilki i rosomaki bez ograniczeń, na fokę wolno je zastawiać tylko pod wodą, na wydrę — w wodzie w hodowlach ryb, na lisy — tylko w niektórych „länach" i to żelaza niezębione, na ptactwo drapieżne — żelaza bałwanowe i tylko w czasie 1.XI — 28.II, oprócz oczywiście bażantarni.

Urządzenia niebezpieczne dla ludzi i zwierząt domowych, a więc trucizna, doły, wnyki, kłody mogą być zakładane nie bliżej niż 200 m. od dróg i domostw i tylko za pozwoleniem właściciela gruntu i polowania; na wspólnych pastwiskach w czasie od 31.V — 1.X jedynie za zgodą wszystkich użytkowników, i to urządzenia te muszą być otoczone pniami drzew, lub innem ogrodzeniem; jeśli mają one służyć do schwytania wilka, rosomaka, albo foki, należy ogłosić o tem w dzienniku lokalnym, przez ambonę, rodzaj zaś zatrutej przynęty zameldować policji.

Wnyki, sidła i pułapki wolno zakładać w niektórych „länach" dopiero wtedy, kiedy jest dozwolone polowanie na zające i ptactwo.

Bałwanów do polowania na ptactwo, bez zgody sąsiada, nie wolno umieszczać bliżej niż o 200 m. od granicy.

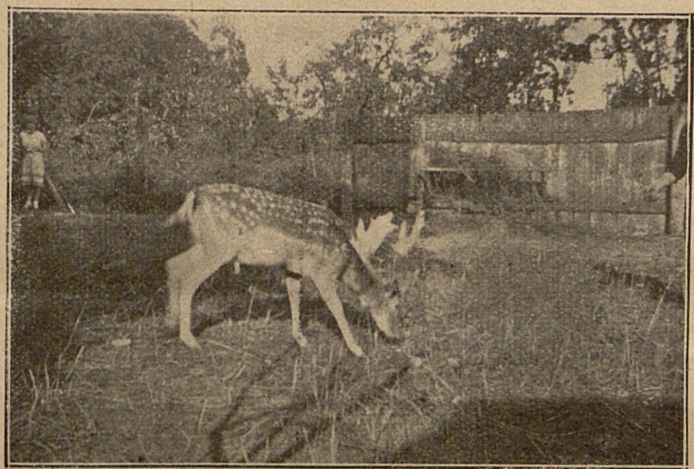
Przy puhaczu, żywym, czy wypchanym, wolno strzelać tylko gołębiarza, krogulca i wronę.

Obcy poddany winien wykupić kartę łowiecką.

Koty napotkane po za ogrodem lub podwórzem, wolno zabijać.

Za szkody wyrządzone w zwierzostanie przez wałęsające się psy, płaci odszkodowanie ich właściciel. W terminie od 1.III — 20.VIII psy muszą być stale na uwięzi lub w takiej opiece, która nie pozwoli im wałęsać się po rewirach. Nie wolno ich też używać w tym czasie do polowania, z wyjątkiem pewnych wypadków. A więc na jeziorach i rzekach, tam, gdzie polowanie na krzyżówki jest dozwolone; na niedźwiedzia, wilka, rysia i rosomaka, jeśli zwierzęta te uparcie trzymają się i wyrządzają szkody w danej okolicy, jak również dla wystraszenia z jamy lub wykrotu, wilka, rosomaka, lisa, wydry, borsuka, tchórza, kuny, gronostaja *(Mustela erminea)*, łasicy, lub dzikiego królika.

Nagród za ubicie lub złowienie łownych ssaków lub ptaków wyznaczać nie wolno, bez pozwolenia centralnej władzy administracyjnej.



Oswojony daniel u p. Władysława Nałęcza w Kikole.

Fot. Jerzy Prądzyński.

Powyższe przepisy i terminy polowania, zdaniem myśliwych, nie są zupełnie zadawalające, wymagają uzupełnień i poprawek, skutkiem bowiem ich braków powstają nadużycia i kłusownictwo, które mimo wysokiej kultury ludności, jest równie dobrze rozwinięte jak w innych krajach! Walka z niem jest stosunkowo trudna ze względu na ogromne przestrzenie leśne, bardzo rzadko zamieszkane, oraz brak wszelkich ograniczeń co do kupna i posiadania broni śrutowej. Jedynie na broń krótką i gwintowaną wymagane jest wykupywanie pozwolenia z roku na rok. Karta łowiecka w znaczeniu polskiem nie istnieje dla mieszkańców zupełnie!

Zwierzostan Szwecji, dzięki jakoby zgubnej działalności przemysłu drzewnego, wdzierającego się w coraz bardziej niedostępne zakątki, nie przedstawia się naogół zbyt świetnie. Istotnie dużo jest głuszców i cietrzewi, co obserwowałem osobiście w dostępnych mi lasach Hälsinglandu, zarówno jak i na zawsze bardzo bogato zaopatrzonym rynku zwierzyny (nie zawsze w czasie dozwolonym...).

Co do głuszca, to szwedzi są do pewnego stopnia dumni, że u nich ptak ten nie szuka ustronnych miejsc, lecz trzyma się często w sąsiedztwie mieszkań. Tłumaczy się to stosunkowo dużemi odległościami między zagrodami wiejskiemi, wsie bowiem, zwłaszcza w północnej i środkowej części kraju, wprost rozmieszczone są po lesie.

Jako charakterystyczna cecha polowania, zarówno na głuszce jak i cietrzewie, jest mniemanie o szkodliwości wiosennego odstrzału kogutów dla dobrego rozwoju tych ptaków, tak, że polowanie na tokach jest uznane za jeden z najwyższych stopni kłusownictwa! Wolno natomiast strzelać kury, jako też wszystkie samice zwierząt łownych, nie znajdując w tem żadnych obaw dla liczebności zwierzyny.

Imponująco przedstawia się zwierzostan łosi. Według przepisów, wolno na nie polować od 1 — 5 dni w roku, a jak stwierdza oficjalna statystyka podana w czasopiśmie leśnem „Skogen" z dnia 1.XII 1929 r., w sezonie ubito w całym kraju 4.267 sztuk, w tem 2.265 byków, 1.924 krowy i 78, których płci nie rozpoznano. Wynik ten świadczy o powiększeniu się zwierzostanu łosi, w 1928 r. bowiem padło ogółem 3.721, a w 1927 r. 2.906 sztuk w tym samym czasie.

Niedźwiedź ryś są rzadkie nawet w lasach państwowych, wilk wytępiony niemal zupełnie i jedynie czasami spotykany w Laponji. Rosomak *(Gulo borealis)* podzielił w zupełności losy wilka.

Jako charakterystyczny sposób polowania na zwierzęta czworonożne, wymienić należy polowanie z gończymi, jak również na łosie z naganką. Pierwszy jednak sposób naogół lepiej nadaje się do terenu, albowiem las stanowi przeważnie nierozerwalną całość i brak mu jakichkolwiek linij i duktów. Na ptactwo najliczniej uprawiane jest polowanie z wyżłem. Istnieje specjalny sposób polowania na głuszce, kiedy ptaki te obsiadają w jesieni i w zimie wierzchołki pojedynczych sosen. Jest to t. zw. „tuppskyttet pa topp" (strzał do koguta na wierzchołku). Myśliwy uzbrojony w precyzyjną i dalekonośną broń kulową, zdobywa przy tego rodzaju polowania często bardzo bogate trofea. Posiadanie odpowiedniej wprawy w strzelaniu jest przy tem polowaniu oczywiście koniecznym warunkiem powodzenia.

W północnej części Västmanlandu, koło Langsjön, w lasach państwowych znajdują się żubry, które, będąc otoczone troskliwą opieką, zdaniem pism fachowych, hodują się zupełnie dobrze.

Według cytowanego wyżej czasopisma „Skogen", istnieje w Szwecji 10.000 myśliwych stowarzyszonych w 32 organizacjach, które wspólnie wydają dwa czasopisma łowieckie.

W Sztokholmie jest w parku narodowym t. zw. Skansen, zwierzyniec, gdzie znajduje się większość przedstawicieli fauny krajowej, rzadko spotykanych już w stanie dzikim. Obok Skansen mieści się Muzeum Biologiczne. „Biologiska Museet" jest scentralizowanym obrazem świata zwierzęcego Szwecji i na odpowiedniem dla niego tle zawiera wszystkich przedstawicieli pól, wód i lasów, obecnych i już wytępionych. Każda część kraju jest odzwierciadlona w swych naturalnych barwach i ze swymi mieszkańcami, tworząc kilkanaście typów, od lodowcowego do rolniczego

z okolic Skanji. Zwierzęta są rozmieszczone według warunków bytowania, z podkreśleniem charakterystycznego szczegółu z ich życia. Muzeum słusznie nazywa się biologiczne, mamy bowiem tam nietylko dorosłe okazy, ale też młode, gniazda z jajami. kryjówki, jamy i legowiska.

Znaczenie takiej poglądowej nauki zoologji nie wymaga bliższych wyjaśnień i jest równie ważne dla myśliwych i przyrodników, jak i dla większości ogółu, któremu coraz bardziej skomplikowane warunki życia codziennego nie pozwalają zobaczyć tego w naturze.

WACŁAW SZABŁOWSKI.

ZE WSPOMNIEŃ, ZANOTOWANYCH W KSIĘDZE MYŚLIWSKIEJ POPIELUSKIEJ W ROKU 1896.

Wiele czasu zabierała gronu myśliwych zjeżdżających na doroczne polowania w Popieluchach, kwestja określenia zalet myśliwego i stale trwały debaty i spory o pierwszeństwo, gdyż ilość wystrzelonych naboi musiała być braną pod uwagę w stosunku do ubitej zwierzyny.

Zbawcze wyjście z tych trudności wynalazł dobry matematyk i myśliwy, który po szeregu bezsennych nocy spędzonych na matematyczno myśliwskich dociekaniach, doszedł do następującej formuły, sporne kwestje wyjaśniającej ostatecznie.

Tryumf wynalazku formuły został zaprotokułowany w księdze myśliwskiej w sposób następujący:

„Jakkolwiek kierujące nami dotychczas prawa nas zadawalniały, zaświtała myśl genjalna w kombinacyjnym umyśle W-go Pana Władysława Rybałtowskiego, która to myśl na nowe tory szalę sprawiedliwości wyprowadza! Cóż atoli może bardziej zadowolnić głos sumienia myśliwego, jak zwięzła w swej ścisłości, formuła matematyczna".

Formuła ta jest następująca:

$$\frac{a^2}{b + c}.$$

gdzie *a* oznacza ilość ubitej przez danego myśliwego zwierzyny,
b ilość wszystkich strzałów danego myśliwego t. j. różnica pomiędzy ilością naboi wziętych na polowaniu a ilością naboi przywiezionych z polowania,
c ilość pudeł t. j. różnica ilości wywiezionych na polowanie naboi z przewiezionymi po potrąceniu ilości ubitej zwierzyny.

Zjawiła się jednak przy wprowadzaniu w życie formuły, wątpliwość, czy myśliwy nie zechce oszczędzać strzałów dla dobicia męczącej się zwierzyny. Wątpliwość ta znalazła również wyraz w protokularnej notatce następującej:

„Nie wątpimy, że nie znajdzie się w gronie naszem ani też w przyszłości, myśliwy, któryby oszczędzał strzału w celu dobicia niedobrze strzelonej zwierzyny i gwoli zadowoleniu swej próżności i niepopsuciu formuły, ścierpiał, by zwierz na miejscu nieporażony, niepotrzebnie się męczył".

Dla przykładu przytaczam część rozkładu Popieluskiego polowania.

	Lisy	Zające	Sztuki	Strzały	Formuła	Nr. kolejny
X. O.	2	5	7	27	1.04	Nr. 5
I. M.	1	8	9	20	2.61	Nr. 4
A. B.		7	7	11	3.26	Nr. 2
Z. G.		13	13	36	2.86	Nr. 3
W. B.		11	11	17	5.25	Nr. 1

i t. d.

Z powyższego przykładu widzimy, że W. B. pomimo, że nie zabił największej ilości zwierzyny, osiągnął jednak królestwo, pozostawiając daleko za sobą resztę myśliwych.

Od dnia przyjęcia przez pp. myśliwych za podstawę do określenia dobroci myśliwego, formuły ochrzczonej mianem Lex Ribaltina, tematem wielu dowcipów były wyjazdy na polowanie, gdy każdy myśliwy był zmuszony przed wyjazdem okazać wobec świadków, ilość zabieranych do kniei, naboi, a po powrocie — ilość pozostałych.

Zdarzało się też czasem, że niewiasta skłonna do wybiegów, próbowała wyzyskać Lex Ribaltinę dla poprawienia rezultatów formułki danego myśliwego i wtedy znajdowały się naboje z poprzedniego polowania, które ukradkiem tentowała wprowadzić do torby przybyłego zpolowania myśliwego. Nie na wiele jednak te zakusy szacherki się przydawały, gdyż oko innych myśliwych, którym również o dobry rezultat formuły chodziło, spostrzegało te niecne manipulacje, niezwłocznie, surowo a życzliwie karane.

T. BRZOZOWSKI.



Mgły poranne. Fot. O. Sołtan.



ŻBIK (FELIS CATUS).

Dokończenie. (Zob. Nr. 47).

Wogóle wszyscy, którzy starali się młode żbiki odchować, przekonali się, że zadanie to wcale nie jest łatwe. Niemało wymaga trudu, uwagi, oraz wielkiej pieczołowitości, ażeby móc nawet oswojonego już żbika utrzymać przy dobrem zdrowiu, lub życiu, znacznie jednak jest trudniej doprowadzić młode do przyjmowania pokarmu, nie posiadamy bowiem żadnego sposobu, ażeby móc je zmusić do jedzenia. Gdy wreszcie przyjmą jaką myszkę, lub ptaszka, to osiągamy już bardzo wiele. Już sam widok człowieka doprowadza je zawsze jeszcze do szału; gdy wiedzą, że nie są obserwowane, bawią się wtedy wesoło i wdzięcznie, jak małe, swojskie kocięta, lada jednak szelest przerywa tę zabawę, niewinność ich ustępuje miejsca podejrzliwości, która przechodzi następnie w dawniejszą ich, wściekłą zawziętość. Trójkątne ich uszy tulą się na boki ku tyłowi; przyczajają się one w miejscu, mrucząc i parskając, a przytem skrzeczą; zielonkowato - żółte ich oczy połyskują groźnie, włos im się zjeża, a ich wysuwające się pazury, szykują się do ataku. Stopniowo i powoli przywykają z czasem do swego stałego opiekuna, a przynajmniej zachowują się dość spokojnie, gdy on do nich się zbliży, nie mrucząc już i nie parskając nań tak groźnie, aż wreszcie, choć coprawda nadzwyczaj rzadko, dają się dotknąć i głaskać. Wszystko to zależy jednak od tego, jak z nimi się obchodzono. Zelebor zapewnia, że nawet stare, schwytane żbiki dawały się oswoić. Narazie zachowywały się one nadzwyczaj płochliwie i wprost były nieposkromione, pluły bowiem i parskały otwartym swym pyskiem, oraz doskakiwały w szalonych skokach do krat klatki, gdy tylko ktokolwiek, lub wreszcie jakie zwierzę do krat klatki podeszło; szalały wprost do tego stopnia, że nawet odważni myśliwi cofali się narazie od ich klatki; mordowały jednem uderzeniem łapy, lub kłami każde wrzucone im do klatki stworzenie, począwszy od szczura aż do królika, oraz każdego ptaka wielkości wróbla, czy kury, nie tknąwszy następnie zamordowanej ofiary. Jednak przy łagodnem i dobrem obchodzeniu się z nimi, zatracały stopniowo swą dzikość, stawały się z dniem każdym spokojniejszymi i nabierały wreszcie zaufania o tyle, że przyjmowały podawane im na kiju pożywienie, które pożerały — pomrukując.

Inna znowu samica, złapana wraz z młodemi, przyjęła nawet podłożone jej, domowe, małe kocię, którem troskliwie się zajęła, dając mu ssać razem z jej własnemi, a starszemi, dwoma małemi. Przyrodnia ta matka oswoiła się następnie w ciągu kilku tygodni do tego stopnia, że bawiła się nawet z domowymi psami, pomrukując nawet przytem przyjaźnie. Co do pożywienia, to tak młode, jak też i stare żbiki, bywają nadzwyczaj wybredne. Myszy i małe ptaki przypadają im najbardziej do gustu; mleko chlepczą tak samo, jak domowe koty; koniną kompletnie gardzą, a karmione wyłącznie jaknajlepszą nawet wołowiną, wkrótce zdychają. Trudne i nadzwyczaj subjekcjonalne chowanie żbika w niewoli, jest główną przyczyną, że spotykamy go bardzo rzadko w zoologicznych ogrodach, a pozatem zdobycie tego drapieżnika przedstawia większe trudności, aniżeli zdobycie dziesięciu leopardów, lub lwów.

Żbik bywa wszędzie gorliwie prześladowany, gdziekolwiek tylko się zjawi, każdemu bowiem leśnikowi idzie o to, ażeby pozbyć się ze swego rewiru, tego znienawidzonego szkodnika. U nas, gdzie jeszcze się trafia w niektórych miejscowościach, bywa najczęściej tępiony podczas nagankowych polowań, łatwiej bowiem daje się wypędzić z gęstwiny na linję myśliwych, aniżeli lis. Jeden z niemieckich myśliwych, polując pewnego razu w okolicach Harcu, usłyszał go nadbiegającego po zmarzłej, śnieżnej powłoce, wśród opadającej z drzew okiści, prawie że zaraz po ruszeniu naganki, przyczem zachowywał się zupełnie tak samo, jak lis, t. j. biegł truchtem, co chwila przystawając i wsłuchując się w hałas zbliżającej się linji naganiaczy. Zimową porą, podczas ponowy, poluje się nań z pomocą psów, krocząc po tropie do miejsca, gdzie się ukrył, czy to w jakiej norze, czy też na drzewie; można go również upolować na wabia, naśladując pisk myszy, lub głos ptaka. Łapanie żbika w pułapki mniej się udaje, choć można go niekiedy zanęcić za pomocą witerunku, przygotowanego z kopru, walerjany, lub korzenia fiołkowego, które to ingredjencje, prażone w tłuszczu, tak samo go ogłupiają, jak i domowego kota. Na Węgrzech polują nań z psami, a wpędzonego przez nie na drzewo — ubiją. Gdy żbik schroni się do jakiej dziupli,

wtedy drzewo bywa poprostu ścinane i rozrąbywane, ażeby móc go dosięgnąć.

Najtrudniejszem podobno zadaniem jest wydobycie żywego żbika z dziupli drzewa, co wymaga zawsze nielada odwagi i poniekąd siły, a w tym celu naciągają łowcy na ręce możliwie jaknajgrubsze rękawice, owijają je jeszcze grubo w szmaty, poczem dopiero przystępują do wyciągnięcia zwierza z jego kryjówki i umieszczenia go w worku. Tego rodzaju polowanie wydaje się jednak bardzo wątpliwem, wszyscy bowiem sprawozdawcy są powszechnego zdania, że ze starym już żbikiem niema wogóle co żartować, tembardziej, że polując na niego, należy zawsze zachować jaknajdalej posuniętą ostrożność. Nie żałujmy też nigdy drugiego strzału, o ile pierwszy nie zupełnie jest śmiertelny i dopiero wtedy podejdźmy do żbika, gdy już ruszyć się nie może, przyczem silnem uderzeniem w nos, dobijmy go, zanim zechcemy go podnieść. Raniony żbik, gdy doń się przystąpi, stać się może nadzwyczaj niebezpiecznym, a dlatego, zanim do niego strzelimy, miejmy go wpierw zawsze jaknajdokładniej na muszce, gdyż postrzelony, zwykle natychmiast się zrywa ze wzniesionym ogonem, oraz wygiętym w górę grzbietem, zbliża się, parskając i skrzecząc ku myśliwemu, zajadle się broni, a nawet ze wściekłością rzuca się mu na piersi, wpijając ostre swe pazury w jego ciało tak silnie i głęboko, że go wprost oderwać trudno. Psów prawie się nie boi, gdyż zanim myśliwy strzelić doń zdoła, zsuwa się zazwyczaj szybko po pniu drzewa pomiędzy psy i rozpoczyna z nimi zaciętą walkę, zadając im swymi pazurami dotkliwe rany, przyczem stara się wydrapać im przedewszystkiem oczy, a zażarta ta walka trwa zwykle tak długo, dopóki ostatnia iskierka twardej jego natury wreszcie go nie opuści.

Jeden z angielskich myśliwych tak opisał spotkanie swe ze żbikiem, gdy pewego razu przebywał w Szkocji: „Byłem zajęty łapaniem ryb na wędkę i z trudem przedostawałem się skalistem wybrzeżem nieco dalej, ażeby w innem miejscu zasiąść z wędką, przyczem, przechodząc przez większą kępę gęstego, rosnącego tam wrzosu, natknąłem się zupełnię niespodzianie na żbika. Przeląkłem się wówczas nie mniej, aniżeli sam żbik, który ze zjeżonym włosem, z pod nóg moich nagle wyjechał. Dwa, towarzyszące mi psy, pognały za nim do sąsiednich skał, gdzie usadowił się on na czubku wyższego głazu, a bezpieczny przed nimi, parskać i pluć na nie począł, gdy za nim do skały dopadły. Ponieważ nie miałem przy sobie fuzji, uciąłem więc porządny kawał grubego kija z rosnącego tam krzewu, by mieć czem spędzić ze skały żbika i poszczuć go psami. Gdy tylko zbliżyłem się do niego na 6 — 7 stóp, skoczył on ponad psami prosto do mnie w stronę mej twarzy. Napewno zostałbym fatalnie pokaleczony, gdybym w samą porę nie zdążył uderzyć go w skoku z całej siły kijem w grzbiet, wobec czego upadł on z przetrąconymi kręgami pomiędzy moje psy, które z moją pomocą szybko z nim się załatwiły".

Inny znowu wypadek z czasów dawniejszych, a opowiedziany przez innego myśliwego, był następujący: „Pies jednego z wojskowych, polującego na kaczki, natknął się w gęstej trzcinie na żbika, którego następnie wpędził na przybrzeżne drzewo. Dopadłszy za nim do drzewa, ropoczął zajadle go oszczekiwać, był bowiem nieubłaganym wrogiem kociego rodu. Gdy ów wojskowy pochwycił broń, nabitą kaczym śrutem i do żbika się złożył, dał on nagle olbrzymiego susa w gęste, nadbrzeżne trzciny. Pies pogonił za nim i dopadłszy go, rozpoczął zażartą walkę. Pan jego, nie mogąc strzelać w podobnym gąszczu, obnażył szablę, wszedł w trzcinę, a odnalazłszy miejsce odbywającej się walki, przygwoździł na wylot żbika szablą do ziemi. Żbik, czując się ranionym, wnet puścił psa, a choć był śmiertelnie nadziany na szablę, starał się jednak w swej furji dosięgnąć ręki wojskowego, wobec czego tenże był wreszcie zmuszony wypuścić szablę ze swej dłoni. Pies oswobodzony z uścisku żbika, widząc, co się dzieje, wpadł na przebitego wroga i pochwycił go mocno za kark, wobec czego mógł jego pan wyciągnąć swą szablę ze zwierza i wreszcie go dobić".

Nie zawsze jednak tego rodzaju polowania tak szczęśliwie się kończą, bywały bowiem dość częste wypadki, że i myśliwy został przez żbika lżej, lub silniej pokaleczony, a z przyczyny odniesionych ran, nawet życie utracił. Pazury wszelkich kotów, jako zwierząt drapieżnych, są zwykle zabrudzone krwią i resztkami z pomordowanych ofiar. Resztki te szybko podlegają gniciu, przyczem wytwarza się t. zw. jad trupi, który, przedostawszy się następnie przez zadraśnięcie, lub silniejsze okaleczenie do zdrowego organizmu, powoduje zwykle groźne w swych skutkach zakażenie krwi, a nierzadko i śmierć, a dlatego i lekkie nawet zadraśnięcie pazurami swojskiego kota, spowodować niekiedy może bardzo poważne i długotrwałe cierpienie, co już nie raz bywało.

Właściwego żbika można łatwo rozróżnić od swojskiego a zdziczałego kota domowego. I te ostatnie nie rzadko spotykamy w naszych leśnych rewirach, nie dochodzą one jednak nigdy do wielkości właściwych żbików, chociaż przewyższają i one znacznie swoją wielkością nasze swojskie koty. Pod względem swej dzikości, oraz szkodliwości nie ustępują one żbikom, a gdy z generacji na generację mnożą się dalej w lasach i tamże wyrastają, wtedy stają się z czasem bardzo podobnymi tak z ubarwienia, jak też z usposobienia, do właściwych żbików. Brak im jednak owego charakterystycznie znaczonego i jakby przyciętego ogona, jaśniejszej plamy na gardle, oraz ciemno ubarwionych podeszew; gdy powyższe oznaki nie uwydatniają się należycie, wtedy możemy być najzupełniej pewni, że mamy do czynienia z bastardem, nie zaś z właściwym żbikiem. Szczegółowo opisał tego drapieżnika doskonały badacz — naturalista dr. Alfred Edmund Brehm.

U nas w Kaliskiem, choć od przeszło 40 lat już tutaj przebywam, nie dało się nigdy słyszeć, ażeby żbiki gdziekolwiek trzymać się miały, lub też w ciągu tego czasu jakiego ubito. Dawniej, przed laty, trafiały się one podobno dość nawet często, okoliczne bowiem, wielkie i głuche bory dawały im znakomite schroniska. Gdy w grudniu 1902 roku brałem udział w polowaniu w dobrach Zbierskich pod Kaliszem, znalazł się wtedy na wspaniałym wówczas rozkładzie również i zdziczały kot, ubity celnym strzałem prowadzącego polowanie, leśniczego. Okaz ten mocno nas wtedy wszystkich zaintrygował, a to tembardziej,

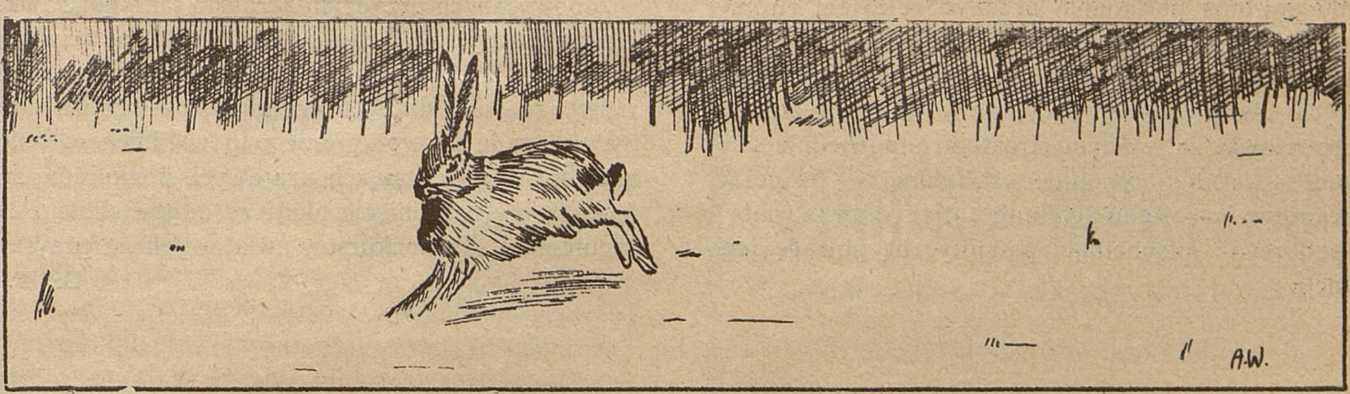
że różnił się on znacznie od najtęższego, swojskiego kota, tak swem pięknem, puszystem futerkiem, jak też nadzwyczajną wielkością. Narazie sądziło nawet kilku myśliwych, że jest to żbik, był bowiem podobnie do niego znaczony, jednakże po bliższem obejrzeniu ubitej sztuki, okazało się, że było to zdziczałe, olbrzymie, swojskie kocisko. Jasno ubarwione podeszwy jego nóg, jak również nieco odmienniej ubarwione jego futerko, wyraźnie na to wskazywały. Ogon ubitej sztuki był jednakże znacznie krótszy i grubszy, co też było główną przyczyną, że wzięto go narazie za rzeczywistego żbika. Po dokładnem jednak obejrzeniu ogona, okazało się, że, czy to w jakiej walce, czy też z innej jakiej przyczyny, utracił on dość już dawno czubek swej kociej ozdoby.

O upolowanym znacznie wcześniej żbiku, mniej-więcej przed czterdziestu kilku laty, przypominam sobie dobrze ze swych dziecinnych czasów, gdy mieszkaliśmy na wsi w Piotrkowskiem. Las nasz, sąsiadujący wtedy z większymi rządowymi i prywatnymi borami, ciągnącymi się na znacznej przestrzeni, obfitował we wszelkiego rodzaju zwierzynę. Było jej tam sporo, nawet i grubszej, jak sarny, dziki, a nawet przechodnie jelenie, które nie rzadko tam zachodziły, a zimową porą w czasie silniejszych i dłuższych mrozów zjawiały się zwykle nawet i wilki będące nielada postrachem dla okolicznych włościan, zwłaszcza gdy w niedziele i święta udawali się na nabożeństwo do kościoła, znajdującego się w sąsiedniej parafji. Zwykle też odbywały się zimową porą te wspólne, świąteczne wędrówki z cepami i widłami, by w razie napadu wilków, mieć się czem bronić, zdarzały się bowiem wypadki, że samotni wędrowcy padali ofiarą tych drapieżników. Powracam jednakże do głównego tematu.

Otóż mam jeszcze świeżo w pamięci kilka zimowych polowań, na które zjeżdżało się do nas zwykle liczne sąsiedztwo, a choć byłem małym jeszcze chłopcem, jednak już wtedy interesowała mnie bardzo każda broń i wszelkie myśliwskie sprawy. Było też nie mało uciechy, gdy wraz z nauczycielką wybieraliśmy się saniami do lasu, ażeby dla polujących myśliwych zawieźć nieodozowny, tradycyjny bigos, oraz wszelkie inne, myśliwskie smakołyki. Na jednem z tych polowań padła również i żbiczyca i to wedle zapewnień kliku senjorów wśród myśliwskiego grona — naprawdziwsza, o których to drapieżnikach częściej w owych czasach dawało się w naszych stronach słyszeć. O ile sobie nawet przypominam, to oglądano i badano ubitą sztukę bardzo skrupulatnie, poczem oddano mi ją pod opiekę na sanie, ażeby zbytnio nie poplamiła sobie pięknego swego futerka, wśród innej ubitej zwierzyny, składanej na osobnym wozie. Byłem nawet z tego wielce wówczas dumny, choć pewien żal odczuwałem, że zamordowano tak ślicznego kota. Piękna jej, pręgowana, puszysta skórka przypadła naturalnie w udziale szczęśliwemu zdobywcy, a naszemu bliskiemu sąsiadowi, u którego następnie niejednokrotnie ją podziwiałem, po wyprawieniu jej bowiem, oraz podbiciu czerwonem suknem, zajęła ona, rozpięta na ścianie honorowe miejsce wśród różnych innych a licznych trofeów.

Prócz tego, późną jesienią następnego roku, po wyżej opisanem polowaniu, wydarzył się naszemu borowemu fatalny wypadek z innym znowu, napotkanym w naszym lesie, żbikiem i mało brakowało, by swej nieostrożności życiem nie przypłacił. Ów borowy, wraz z jednym z okolicznych włościan, udali się na porębę, w celu wybrania kilku sztuk budulcowego drzewa, a dla skrócenia sobie drogi, szli na przełaj, przedzierając się przez gęsty, sosnowy zagajnik. Nagle jamnik borowego wypłoszył na małej, wrzosem zarośniętej, polance, wyrosłego, dużego kota, który w kilku susach dopadł sąsiedniej sosenki, wdrapał się na nią i wśród gałęzi przyczaił. Ponieważ borowy otrzymywał pewne wynagrodzenie za tępione szkodniki, połaszczył się więc i na zdobycie owego kota, mimo, że nie miał przy sobie strzelby, która była chwilowo oddana do reparacji. Wspólnie więc ze swym towarzyszem zabrali się gorliwie do dzieła, licząc przytem i na pomoc jamnika, byle móc tylko spędzić kota na ziemię. Uzbrojeni więc jedynie w swe sękate kije, rozpoczęli kolejno bombardować nimi, przyczajonego na drzewie, kota, mimo że tenże okazał się jakoś dziwnie hardym i groźnie parskać i pluć na nich począł, nie okazując na razie najmniejszej chęci do opuszczenia drzewa, widocznie, jak im się zdawało, z przyczyny obecności zajadle oszczekującego go z dołu jamnika, oraz zbyt oddalonego, sąsiedniego gąszczu. Bombardowanie trwało więc coraz gorliwiej w dalszym ciągu. Nagle kocisko dało olbrzymiego susa i spadło bliżej stojącemu borowemu wprost na piersi, starając dostać się groźnymi pazurami do oczu. Na szczęście, od tego szalonego skoku, zsunęła się borowemu na oczy jego czapka, co go też zapewne jedynie uchroniło od strasznego kalectwa, a zdając sobie sprawę z groźnej sytuacji, rzucił on się na ziemię i przygniótł swym ciężarem do ziemi, rozszalałego zwierza. Po zaciętej, dłuższej, walce dwojga ludzi i zajadłej pomocy poczciwego jamnika, udało im się wreszcie drapieżnika tego wspólnemi siłami zmóc i ubić. Chłopek jakoś szczęśliwie z opresji tej wyszedł, prócz bowiem kilku lżejszych zadraśnięć rąk, nic więcej nie oberwał, natomiast borowy został fatalnie pokiereszowany pazurami zwierza na piersiach i boku, najgorzej zaś była poszarpana prawa ręka i to do tego stopnia, że natychmiast musiał być wysłany do szpitala, gdzie go w ciągu czterech tygodni leczyć musiano, zanim do zdrowia powrócił. Gdy upolowanego kota dostarczono do dworu, okazało się, że był to silny, dobrze wyrośnięty samiec - żbik, być może, wdowiec pozostały po ubitej w poprzednim roku samicy.

EMIL KARNEY.



WOLNA TRYBUNA.

KARYKATURA STRZELECKA.

Odbyte w roku bieżącym we Lwowie konkursy strzeleckie dały nam możność przypatrzenia się ich przebiegowi i ich akcesorjom.

Chcę tu dotknąć sprawy specjalnej broni długiej, którą się posługiwano przy wolnych strzelaniach do tarcz stałych.

Jaki cel przyświeca tego rodzaju światowym konkursom, skoro są popierane przez rządy państw? Należy przypuścić, że cel głębszy — więc przez światową emulację rozbudzanie tkwiących w mniejszym lub większym stopniu w każdym narodzie, właściwych uzdolnień, a to w celu podniesienia jego tężyzny, jego na dany wypadek siły obronnej w najszerszem tych słów pojęciu.

Jeżeli to uzasadnienie jest słuszne, to jasne, że te typy strzelań i używanie przy nich takiej broni są przedewszystkiem racjonalne, które, zbliżając się najwięcej do danych przy ewentualnej, poważnej potrzebie, najlepiej praktycznie kształcą, — najbardziej są celowe.

A więc byłyby w tym kierunku wskazane — z krótkiej broni naturalnie rewolwery i wypierające je automaty repetjerowe, wszystko o poważniejszych kalibrach, z długiej zaś, o którą przedewszystkiem chodzi — normalne karabiny wojskowe — i to tak do tarcz ruchomych, jak nieruchomych.

Broń myśliwska, jeżeli się ma na oku powyższe cele, działa więcej pośrednio. Powróćmy teraz wspomnieniem na Kleparowską strzelnicę konkursową we Lwowie! Jednym z działów, najwięcej zainteresowania u zwiedzających i w prasie budzących, były strzelania z broni długiej dowolnego typu; tu konkurencyjne napięcie było największe. A celowość tej konkurencji — z poważnego stanowiska? Powiedzmy otwarcie i zgóry, — prawie żadna!

Swoboda w doborze broni doprowadziła do takiej jej specjalizacji w formie drzewca, co do wagi, przyrządów celowniczych etc., że z tych narzędzi strzeleckich zrobiono istne karykatury tak pod względem na początku podniesionej celowości, jak wogóle zewnętrznego wyglądu.

Warto się zastanowić, czego taki dziwoląg może strzelca nauczyć! W czem jego sprawność i tężyznę, jako jednostki swego narodu, podnieść!? Jest to poprostu stek mniej lub więcej udałych wymysłów, aby grający na tym instrumencie artysta, nie przekraczając formalnie regulaminu, uzyskał w każdym, na strzelnicy przydatnym kierunku, ułatwienia — i tem samem możność wykazania możliwie najmniejszego rozrzutu kul w tarczy.

Tak zbrojny mąż pobija każdego strzelca z bronią wojskową lub myśliwską na strzelnicy zdobywa tam żetony i puhary! Ale użyjmy tego zwycięzcę — w polu, wśród warunków wojskowo, czy myśliwsko decydujących o sprawności, a zobaczymy przeciętne niedołęstwo! Weźmy nawet najlepszego takiego specjalistę i zastąpmy mu jego dziwoląg dobrze ostrzelanym karabinem wojskowym lub myśliwskim, a teraz puśćmy go na wojenne lub myśliwskie strzelania, a zobaczymy, o ile inaczej mistrzowstwo jego się sprezentuje!

A więc jakaż jest celowość regulaminu dopuszczającego taką karykaturę strzelectwa?

Z powyższego punktu zapatrywania się na światowe konkursy strzeleckie wychodząc, nie zachwycam się bynajmniej także metodą strzelecką „fenomena" amerykańskiego, p. majora Bolesá. Wyniki miał najlepsze, to bezprzeczne, bo nie byłby został podwójnym mistrzem. Ale opierając się na informacji z doskonałego artykułu w dwu „Łowcach Polskich" (nr.: 42 i 43) „Mistrzostwo świata", nie mogę bezkrytycznie zostawić takiej metody strzelania, do której śmiało można zastosować stare, polskie określenie „w piętę mierzył, w nos uderzył", naturalnie raczej odwrócone! Jeżeli p. Boles wyzyskał świadomość specjalnych przy danem strzelaniu, współczynników, a więc odległość do jelenia, chyżość jego, oraz opad i chyżość własnej kuli, z tego wypośrodkował z góry takie nastawienie przyrządów celowniczych na swym karabinie, że jak nimi mierzył w chrapy danej figury jeleniej, to trafiał w centrum komory, — to nie można p. Bolesowi odmówić sprytu w bardzo dowcipnem ułatwieniu sobie sprawy na podstawie takiego ostrzelania się, tembardziej, że odbyło się to wszystko w granicach tym razem obowiązującego regulaminu, skoro nie wywołało protestów, — ale ja to znowu nazwę karykaturą prawdziwego, myśliwskiego strzelania, boć osiągnięta w ten sposób ilość punktów, wca-

le nie dowodzi posiadania przez strzelca tej rutyny, która by mu zdobyła tę samą ilość punktów, gdyby wyczuwając z obserwacji powyższe współczynniki, których uwzględnienie decyduje o celności strzału, improwizował za każdym strzałem odpowiednie mierzenie — *bronią normalnie ostrzelaną*. — Kończąc, wracam raz jeszcze do artykułu „Mistrzostwo świata", by podkreślić szlachetną i patrjotyczną powagę jego intencji.

Z powyższych przyczyn, zarówno jako ekswojskowy i praktyk-myśliwy, chcący dla kraju jaknajwiększej użyteczności z rozwoju strzelectwa, — śmiem poddać rozwadze miarodajnych czynników, — czy nie byłoby wskazane spowodowanie odpowiednich ograniczeń nietylko w regulaminach krajowych konkursów strzeleckich, ale rozwinięcie akcji za odpowiednią zmianą regulaminu dla konkursów światowych na przyszłość.

Dr. W. B.

Z ORZECZEŃ NAJWYŻSZEGO TRYBUNAŁU ADMINISTRACYJNEGO.

Kwestja, czy dwa obszary polowania, wchodzące pod uwagę w celu połączenia w myśl art. 10 rozp. Prez. R. P. z dnia 3 grudnia 1927 r. Dz. Ust. poz. 934 o prawie łowieckiem, tworzą „obszar ciągłej powierzchni", oceniana być winna ze stanowiska fizycznej możliwości przechodzenia w celach łowieckich z jednego obszaru na drugi bez przekroczenia innych gruntów.

Podaniem z 20 lutego 1928 r. Józefa Kandulska w Ptaszkowie wystąpiła do starostwa w Grodzisku z wnioskiem o przyłączenie obszaru jej gruntu o powierzchni 109 morgów do wspólnego obwodu łowieckiego gminy Ujazdek.

Orzeczeniem z dn. 2 października 1928 r. starostwo nie uwzględniło wniosku Kandulskiej, ponieważ grunt jej z gruntami należącymi do wspólnego obwodu łowieckiego gminy Ujazdek, nie posiada ciągłej powierzchni, po myśli prawa łowieckiego; gdyby nawet drogę przechodzącą pomiędzy tymi gruntami, przyłączyć do nich po połowie, stykałyby się one w pewnym punkcie swymi kątami, ale wymaganej łączności nie byłoby i w takim razie.

Od tego orzeczenia Kandulska odwołała się do Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, który decyzją z dnia 5 listopada 1928 r., uznając motywy orzeczenia starostwa za trafne, odwołanie oddalił.

Decyzję Urzędu Wojewódzkiego Kandulska zaskarżyła do Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Najwyższy Trybunał Administracyjny nie przychylił się do zapatrywania strony skarżącej, że każde sąsiedztwo gruntów stanowi ciągłość powierzchni w rozumieniu prawa łowieckiego, chociażby grunty te były przedzielone drogą lub stykały się tylko pod ostrym kątem. Czy wchodzące pod uwagę, w celu połączenia, w myśl art. 10 prawa łowieckiego, obszary polowania tworzą „obszar ciągłej powierzchni", jest to quaestio facti, która oceniana być winna ze stanowiska fizycznej możliwości przechodzenia w celach łowieckich z jednego obszaru, czy też gruntu, na drugi, bez przekroczenia innych gruntów. Miejsce przechodzenia musi zatem posiadać pewną, nadającą się ku temu, szerokość. Jeżeli szerokość w punkcie zetknięcia się gruntów wierzchołkami ostrych kątów redukuje się do zera, niema w takim wypadku wogóle miejsca przechodzenia i nie zachodzi warunek ciągłej powierzchni obszarów.

Skarżąca, mając na uwadze przepis art. 11 prawa łowieckiego, zaznacza, że okoliczność, iż grunty przedzielone są drogą, nie może wpływać na niekorzyść skarżącej, to jednak starostwo w uzasadnieniu swego orzeczenia stwierdziło, że gdyby nawet przyłączyć wiadomą drogę po połowie do gruntów wchodzących w rachubę, stykałyby się one tylko w pewnym punkcie. Z tego stwierdzenia, przez skarżącą ani w toku instancji, ani w skardze niezaprzeczonego, w związku z wyłuszczoną wyżej wykładnią pojęcia ciągłości powierzchni, o której mowa w art. 10 prawa łowieckiego, wynika, że grunty, o których połączenie w jeden obwód łowiecki stronie skarżącej chodzi, nie stanowią obszaru ciągłej powierzchni w rozumieniu przytoczonego artykułu.

Nie dopatrując się w zaskarżonej decyzji zarzucanej nielegalności, Najwyższy Trybunał Administracyjny skargę oddalił jako nieuzasadnioną. (L. Rej. 308/29).

STRZ.

DO KOLEGÓW MYŚLIWYCH.

Pragnąc zrealizować zamiar ograniczenia się do zdjęć fotograficznych przy spotkaniu ze zwierzyną na polowaniu, zamiast zabójczych strzałów, poszukuję dobrego aparatu fotograficznego z teleobjektywem. Za aparat tego rodzaju oddałbym sztucer „Sarage" 5-strzałowy, lub „Remington" kal. 20, 5-strzałowy (nowość 1930), broń nowa, wartości 450 zł. i 580 zł. W razie, gdyby aparat, o który mi chodzi, był droższy, dopłaciłbym w gotówce, ewentualnie oddałbym obie sztuki broni.

Warszawa, Myśliwiecka 8.

J. SZCZEPKOWSKI.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— wm — W Mełgwi (woj. Lubelskie) u pana Zygmunta Rulikowskiego polowano na kuropatwy w dn. 5 i 29 września r. b.

Dnia 5.IX w 8 strzelb ubito 208 kuropatw i dnia 29.IX w 3 strzelby — 97 kuropatw. Razem 305 sztuk.

— **Ochrona ptactwa wodnego.** — Władze wolnego miasta Lubeki, w Niemczech, zmieniły termin czasu ochronnego dla dzikich kaczek w tym obwodzie. Zamiast bowiem od 1 stycznia do 15 lipca, obecnie ustanowiono termin od 1 lutego do 31 lipca. Jednocześnie zabroniono polowania w czasie zamarzania wód bieżących, na dzikie kaczki, gęsi, nurki, łyski i czaple.

OFIARY.

Dla uczczenia pamięci ś. p. płk. Antoniego Doboszyńskiego, p. dr. Stefan Rószkiewicz złożył ofiarę w kwocie zł. 10 na fundusz zapomogowy dla wdów i sierot po poległych na służbie strażnikach łowieckich.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Przemysł i handel futrzany.** — Daje się u nas zauważyć ogromny postęp w kierunku farbowania futer. Przystosowując się do ogólnej tendencji, fabryki dziś produkują taniej. Zniżka ta wynosi conajmniej 20 proc. Cło na futra gotowe pozostało bez zmiany. Na rynku krajowym mamy futra w 100 proc. krajowego przerobu, jak np. piżmowce naturalne, skunksy i t. p. Klientela wyrobiła sobie mylne mniemanie, jakoby ceny futer w najbliższej przyszłości ulegną jeszcze dalszej zniżce. Obroty w roku 1930 spadły o jakie 30 proc. Jest to smutny objaw, bardzo naturalny w okresie ogólnej nędzy, bo futro nie należy do artykułów pierwszej potrzeby, a jest przedmiotem luksusu. Spadek cen jest bardzo znaczny, dochodzący do wysokości 40 proc., ale dotyczy to tylko futer lichych gatunków, natomiast wysokie gatunki nie staniały. Kwestja eksportu futer z Polski przedstawiałaby się dość dobrze, gdyby nie zbyt wysokie cło na surowiec. Zdobycie rynków zagranicznych wymaga poważnych kosztów handlowych, przemysłowcy więc nie mając pewności pod względem celnym, nie chcą ryzykować.

— **Futra rosyjskie.** — Niebezpieczny dumping rosyjski zaniepokoił futrzane rynki zbytu. Rosja była zawsze i nadal na długo pozostanie producentem i eksporterem szlachetnych futer. Brak tego towaru przez dłuższy czas dawał się dotkliwie we znaki i spowodował śrubowanie cen na giełdzie w Londynie. Wprawdzie obecnie ceny podniosły się, za to spadła niebywale siła nabywcza klienteli tak dalece, że mimo pełnego właściwie już sezonu, obroty są minimalne.

Pomimo spadku cen futer, ceny oposów nietylko nie zmniejszyły się, lecz owszem zdradzają nawet tendencję zwyżkową. A dzieje się to wskutek tego, że na rynku daje się odczuwać poważny brak, można nawet powiedzieć głód wysokogatunkowych futer. Z tego też powodu towary te zdrożały o jakie 10 — 20 proc.

KOMITET REDAKCYJNY: J Błeszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, W. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, prof. dr. E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wł. Zabiełło i dr. St. Zaborowski.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. **Cała strona** 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5- pop. W redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka. Warszawa, Warecka 15